WASZE PODRÓŻE

magazyn turystyczny

www.waszepodroze.pl

22/styczeń–luty 2012 cena 5 zł
(w tym 8 % VAT)

Zimowe przygody

Austria • Hiszpania • Słowacja • Zanzibar

ISSN 1897-6042
9 771897 604202 7

Po kwadransie wypłynęliśmy na kanał oddzielony od Mozy. Obok po wysokim brzegu pędziły samochody, gdzieś się spieszyły, gdzieś utykały w korkach, a my pyr, pyr siedem i pół kilometra na godzinę i nic nie musimy, bo na barce mamy telewizor, łazienkę z prysznicem i ciepłą wodą, lodówkę, kuchnię oraz prowiant przywieziony z Polski, o napojach nie wspomnę, żeby ktoś nie pomyślał, że był w nich alkohol. Po bokach, na lądzie widoki a'la przełom Dunajca podczas polskiej złotej jesieni, gdyż płyniemy doliną przez malownicze góry Ardeny. Po dwóch godzinach wpłynęliśmy do drugiej śluzy, która sprowadziła nas jeszcze niżej. Za nią ukazał się paskudny kanał, w zasadzie głębokie koryto z brzegami wysoko wybetonowanymi. Nie spodobał nam się. Nie był przyjazny dla małych barek, gdyż nie było się do czego przyczepić. Całkiem po ciemku i po omacku skręciliśmy w jakieś bajoro, by przywiązać się do krzaków. Poszliśmy spać.

Na „Dominice" jest siedem miejsc do spania: dwie w dziobie w kajucie z zasuwanymi drzwiami, trzy w środkowej części, czyli w salonie i dwie (a raczej półtora, bo wąsko) na rufie obok silnika w drugiej zamykanej kajucie. Byliśmy w cztery osoby i uważam, że to jest optymalna liczba załogi dla tej łodzi. Jest wygodnie, a jednocześnie nie brakuje rąk do obsługi barki, zwłaszcza podczas manewrów w śluzach oraz portach.

Sobota wita nas słońcem

Dysponowaliśmy mało dokładną mapą, gdyż był to przecież rejs odkrywczy. Widzieliśmy na niej, że od najbliższego miasta z mariną, czyli Liege, dzielą nas dwie śluzy, ale gdzie jest marina? Nie widać. Michał (załogant) zadzwonił więc do Warszawy do swego przyjaciela, drugiego Michała, który siedział w domu opiekując się chorą żoną i poprosił, by ten włączył komputer, wszedł na stronę www.zeglugawislana.pl Zobaczy tam przez satelitę położenie naszej barki (mieliśmy na pokładzie nadajnik GPS, który codziennie włączaliśmy z chwilą odpalenia silnika). Niech więc wypatrzy marinę i powie nam, jak do niej dopłynąć. Tuż przed Liege Drugi Michał zadzwonił:

– Za chwilę dopłyniecie do mostu – powiedział – za nim będą jeszcze trzy, za czwartym skręcicie w lewą odnogę, w niej jest marina.

Minęliśmy, skręciliśmy, marina była. Dzięki Michał. Zresztą poma-

Miejscowe specjały

Słynne belgijskie frytki - są pyszne, (robi się je ze specjalnej odmiany ziemniaków) lecz z majonezem zbyt tłuste, lepiej brać do nich sos na bazie pomidorów, albo nic.

Zachwyciło nas belgijskie piwo Neffe ciemnobrązowe, ze słodkawą, owocową nutą, zawierające... 8,5% alkoholu. Jest to piwo z rodziny Tripel warzone z trzech zbóż: pszenicy, jęczmienia i owsa.

Spróbowaliśmy też innej specjalności Belgów: piwo Gueuze, 5-cio procentowe, jasne, o posmaku cytrynowo - grejpfrutowym. Dla amatorów dziwności.

W Maastricht (czyli już w Holandii) zamówiliśmy po prostu miejscowe piwo. Dostaliśmy po 33 ml jasnego, delikatnego napoju, o smaku nawiązującym do piwa. Takie jest właśnie przeciętne, holenderskie piwo. Wspominam o nim ku przestrodze.

W Venlo (Holandia) jedliśmy napoleonki – niebo w gębie.

Zakupy

Jeśli płynąc tą trasą będziecie chcieli zaopatrzyć się w prezenty, zatrzymajcie się w Venlo, jednak butów tam nie kupujcie. Na buty najlepsze jest Nijmegen (Numegen po niemiecku), położone trochę dalej, już nad Renem.

Po kwadransie wypłynęliśmy na kanał oddzielony od Mozy. Obok po wysokim brzegu pędziły samochody, gdzieś się spieszyły, gdzieś utykały w korkach, a my pyr, pyr siedem i pół kilometra na godzinę i nic nie musimy, bo na barce mamy telewizor, łazienkę z prysznicem i ciepłą wodą, lodówkę, kuchnię oraz prowiant przywieziony z Polski, o napojach nie wspomnę, żeby ktoś nie pomyślał, że był w nich alkohol. Po bokach, na lądzie widoki a'la przełom Dunajca podczas polskiej złotej jesieni, gdyż płyniemy doliną przez malownicze góry Ardeny. Po dwóch godzinach wpłynęliśmy do drugiej śluzy, która sprowadziła nas jeszcze niżej. Za nią ukazał się paskudny kanał, w zasadzie głębokie koryto z brzegami wysoko wybetonowanymi. Nie spodobał nam się. Nie był przyjazny dla małych barek, gdyż nie było się do czego przyczepić. Całkiem po ciemku i po omacku skręciliśmy w jakieś bajoro, by przywiązać się do krzaków. Poszliśmy spać.

Na „Dominice" jest siedem miejsc do spania: dwie w dziobie w kajucie z zasuwanymi drzwiami, trzy w środkowej części, czyli w salonie i dwie (a raczej półtora, bo wąsko) na rufie obok silnika w drugiej zamykanej kajucie. Byliśmy w cztery osoby i uważam, że to jest optymalna liczba załogi dla tej łodzi. Jest wygodnie, a jednocześnie nie brakuje rąk do obsługi barki, zwłaszcza podczas manewrów w śluzach oraz portach.

Sobota wita nas słońcem

Dysponowaliśmy mało dokładną mapą, gdyż był to przecież rejs odkrywczy. Widzieliśmy na niej, że od najbliższego miasta z mariną, czyli Liege, dzielą nas dwie śluzy, ale gdzie jest marina? Nie widać. Michał (załogant) zadzwonił więc do Warszawy do swego przyjaciela, drugiego Michała, który siedział w domu opiekując się chorą żoną i poprosił, by ten włączył komputer, wszedł na stronę www.zeglugawislana.pl Zobaczy tam przez satelitę położenie naszej barki (mieliśmy na pokładzie nadajnik GPS, który codziennie włączaliśmy z chwilą odpalenia silnika). Niech więc wypatrzy marinę i powie nam, jak do niej dopłynąć. Tuż przed Liege Drugi Michał zadzwonił:

– Za chwilę dopłyniecie do mostu – powiedział – za nim będą jeszcze trzy, za czwartym skręcicie w lewą odnogę, w niej jest marina.

Minęliśmy, skręciliśmy, marina była. Dzięki Michał. Zresztą poma-

Miejscowe specjały

Słynne belgijskie frytki - są pyszne, (robi się je ze specjalnej odmiany ziemniaków) lecz z majonezem zbyt tłuste, lepiej brać do nich sos na bazie pomidorów, albo nic.

Zachwyciło nas belgijskie piwo Neffe ciemnobrązowe, ze słodkawą, owocową nutą, zawierające... 8,5% alkoholu. Jest to piwo z rodziny Tripel warzone z trzech zbóż: pszenicy, jęczmienia i owsa.

Spróbowaliśmy też innej specjalności Belgów: piwo Gueuze, 5-cio procentowe, jasne, o posmaku cytrynowo - grejpfrutowym. Dla amatorów dziwności.

W Maastricht (czyli już w Holandii) zamówiliśmy po prostu miejscowe piwo. Dostaliśmy po 33 ml jasnego, delikatnego napoju, o smaku nawiązującym do piwa. Takie jest właśnie przeciętne, holenderskie piwo. Wspominam o nim ku przestrodze.

W Venlo (Holandia) jedliśmy napoleonki – niebo w gębie.

Zakupy

Jeśli płynąc tą trasą będziecie chcieli zaopatrzyć się w prezenty, zatrzymajcie się w Venlo, jednak butów tam nie kupujcie. Na buty najlepsze jest Nijmegen (Numegen po niemiecku), położone trochę dalej, już nad Renem.

W Holandii

Za Maastricht (mieście jak z obrazka) rzeka Moza wije się i kręci. Dlatego też wzdłuż jej prawego brzegu wybudowano Julianakanaal, omijający te wszystkie zakrętasy. Można płynąć albo rzeką, albo kanałem. Ponieważ trochę spieszyliśmy się, wybraliśmy drogę krótszą, kanałem.

Poniedziałek był słoneczny. Liście na drzewach błyszczały niezmiennie złote, woda za burtą była szaroniebieska, a horyzont zasnuty miękką mgiełką, jak na obrazach holenderskich pejzażystów - jednak malowali z natury. Płynęliśmy do Roermond, zaczęła się 15. godzina naszego rejsu, Ren był coraz bliżej. Jak na nim będzie? Czy „Dominika" da sobie radę z potężnym prądem tej rzeki?...Zobaczymy. Na razie było bosko, bo wokół nas na niebie, na wodzie i na nabrzeżnych łąkach pojawiły się stada gęsi. Ptaki wylatywały nie wiadomo skąd całymi chmarami. Jedne leciały przed siebie (– Niestety na północ! A przecież powinny na południe – martwił się Andrzej.), inne lądowały na trawie lub na kanale. Pojawiały się ciągle nowe, rozpoznaliśmy bernikle z czarnymi szyjami, szare gęgawy i brązowo-rude gęsi egipskie. Wszystkie one towarzyszyły nam przez cały dzień.

W Roermond odnaleźliśmy trzy mariny, ale tylko jedną, w której mogliśmy zanocować. To zrozumiałe, bo przecież normalni turyści o tej porze roku pracują, jedynie wkręceni przez Łukasza Krajewskiego snują się po świecie. Mogliśmy przycumować tylko do miejskiego bulwaru, bez dostępu do prądu i wody. Trudno. Daliśmy sobie radę, gdyż nasza barka ma ogrzewanie na gaz z butli oraz zapas wody w zbiornikach.

Wniosek: gdy się pływa wtedy, gdy nikt już tego nie robi, to wszystko trzeba wozić ze sobą.

Od rana znów płynęliśmy Mozą, gdyż kanał Juliana połączył się z rzeką. Około południa dotarliśmy do miasta Venlo. Zacumowaliśmy przy zardzewiałej, najwyraźniej rzadko używanej kei.

Miasto było straszliwie zatłoczone Niemcami, którzy przyjechali na zakupy, gdyż był to dzień wolny od pracy (1 listopada). Prawie wszyscy nosili zgrzewki coca-coli w małych puszkach. Czyżby po to przyjeżdżali? A przecież w Venlo pełno było sklepików z butami, ciuszkami, fajansem, bielizną, gospodarstwem domowym, najróżniejszymi drobiazgami kupowanymi do kuchni, łazienki czy sypialni. I jeszcze cukiernie – z napoleonkami, najlepszymi jakie jadłam. Także frytki holenderskie oraz ryba smażona w głębokim tłuszczu, która śmierdziała na cały kwartał ulic, przyciągając tłumy głodnych ludzi.

Przepraszam, ale zapomniałam sprawdzić ile kosztuje coca-cola w małych puszkach. Nie wiem więc, czy również Polakom warto po nią jeździć do Venlo.

Dwa kilometry do Nijmegen

We środę po południu stanęliśmy przed śluzą, która miała nas przenieść na Waalkanaal, będący w istocie Renem. Stoimy i stoimy. Jednostki turystyczne wpuszczane są na końcu, za barkami przemysłowymi. Na wodzie też musimy tym barkom ustępować. Nie jest to teren gdzie turysta rządzi. Tutaj najważniejsze są przemysłowe barki oraz ich kosztowny ładunek. Ale żadnych barek nie było, tylko nasze maleństwo, a mimo to śluza nie otwierała się. Minęło pół godziny. Nic się nie działo, więc kapitan Funio powiedział do mnie (swojej żony):

– Może nastawiłabyś zupę?

O co tu chodzi? Ja, jedyna kobieta w naszej załodze, ogłosiłam się cookiem, ponieważ lubię dogadzać mężczyznom, a oni są tacy łakomi. Na „Dominice" miałam do dyspozycji kuchenkę gazową dwu palnikową, jeden średni garnek (bez pokrywki, czego nie znoszę), dwa małe oraz jedną, średniej wielkości patelnię. Gotowałam więc najpierw zupę, którą zjadaliśmy około 13 godziny w trakcie rejsu, a po dotarciu na nocleg – drugie danie. I było tak, że zawsze w momencie, gdy podawałam zupę wpływaliśmy do śluzy. Nie wypadało inaczej, choćbyśmy nie wiem jak obliczali czas. To oczywiście komplikowało nam konsumpcję, gdyż w śluzie trzeba się było łapać za cumy, a nie za łyżki. Zupa wracała więc do garnka, gdzie czekała na odgrzanie. Zatem teraz, gdy tak staliśmy przed zamkniętymi wrotami, pomyśleliśmy o zupie, która powie: „śluzo, otwórz się".

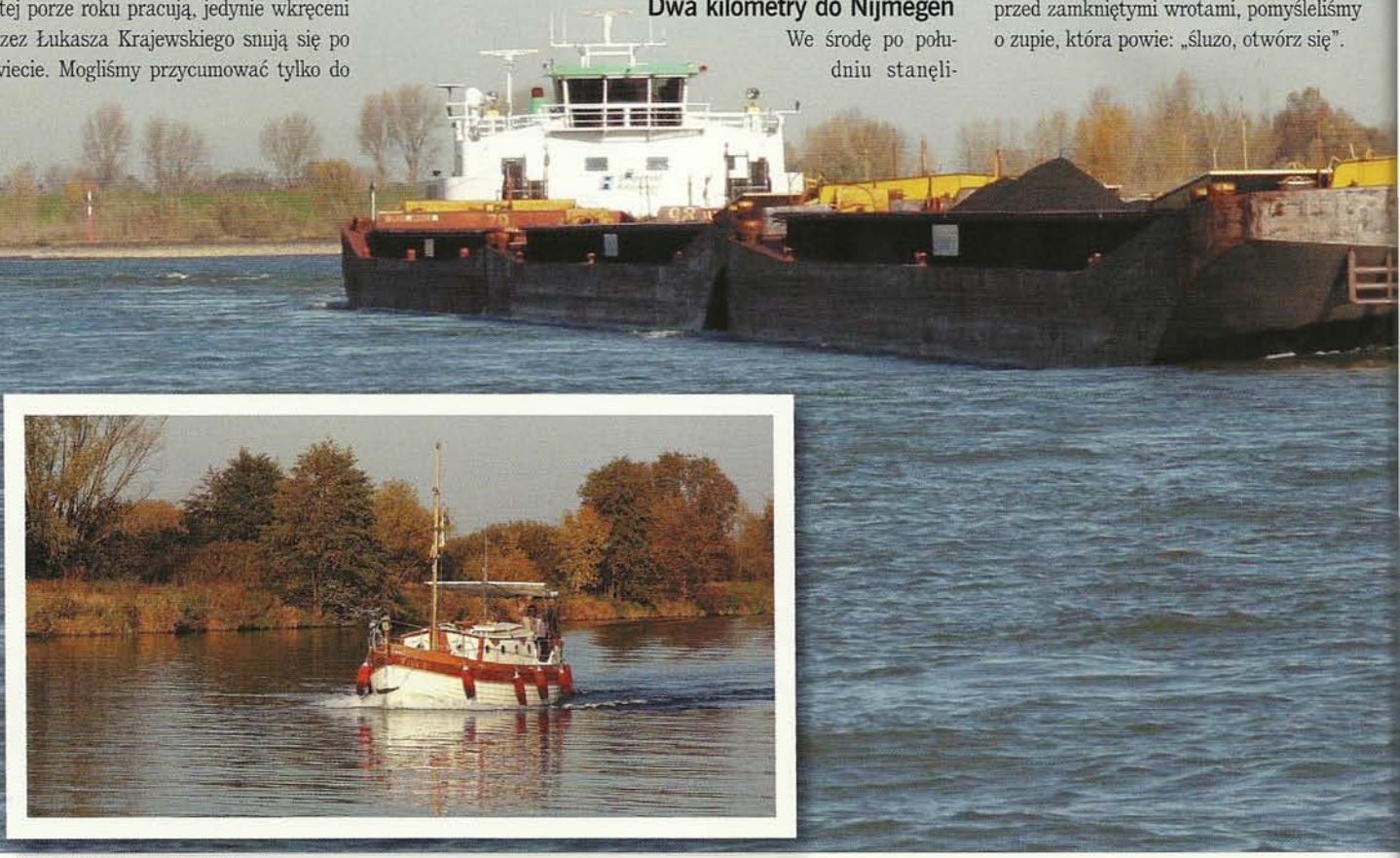

Miałam ją już przygotowaną do nastawienia; pokrojone w kostkę warzywna z ziemniakami i boczkiem przysmażonym wcześniej wraz z cebulką. Gotowanie takiej zupy trwa 20 minut, czyli do chwili, gdy miękkie będą ziemniaki (marchewka powinna pozostać chrupka). Nastawiłam. Ugotowałam. Wystawiłam głowę na pokład i mówię: zupa gotowa. I co? I wrota śluzy otworzyły się.

Pytanie: czy może mi ktoś racjonalnie wytłumaczyć istnienie tego rodzaju zbiegu okoliczności? Funio nazwał te „zbiegi" – metafizyką.

Śluza otworzyła się (marchewka w zupie rozmiękła), a my wytrzeszczyliśmy oczy na ogromną przestrzeń wzburzonej wody, uderzyły w nas fale i silny wiatr. Zobaczyliśmy ogromne barki, które sunęły jedna za drugą w obie strony. Nasza „Dominika" wyglądała przy nich jak zabawka. Kapitan zwiększył obroty silnika do 2 800 (dotąd płynęliśmy na obrotach 2000) i asekuracyjnie „przytulił się" do brzegu. Czy w ogóle posuwaliśmy się do przodu? Tak, płynęliśmy pod wiatr i pod prąd wielkiej rzeki małą barką. Do mariny w Nijmegen mieliśmy tylko dwa kilometry, ale pokonanie tego dystansu zabrało nam całą godzinę.

Pisałam już, że w Nijmegen pełno jest sklepów z butami. Dosłownie jeden na drugim. Wybór modeli był ogromny, a ceny bardzo zróżnicowane. Za 200, 300 złotych (po przeliczeniu z euro) można kupić buty ładniejsze niż u nas za te same pieniądze. Łaziliśmy więc po mieście, poszliśmy do pizzerii, kupiliśmy coś na jutrzejszy obiad i wróciliśmy na barkę. Czy jutro na Renie będzie jeszcze gorzej niż dzisiaj? Przygotowaliśmy kotwicę, na wypadek gdybyśmy na wodzie mieli kłopoty z silnikiem, położyliśmy pod ręką kamizelki ratunkowe. Z trudem zasnęliśmy, gdyż przez całą noc słyszeliśmy silniki przemysłowych barek, mijających zatokę z naszą mariną.

Dwa dni na Renie

Całą Europę można przepłynąć siecią wód śródlądowych, co praktykujemy od siedmiu lat. Na sieć tę składają się specjalnie wykopane kanały, połączone z rzekami, (a czasem też z jeziorami). Z takim połączeniem mieliśmy właśnie do czynienia w Nijmegen, gdzie 70 – cio kilometrowy odcinek Renu łączył szlak Mozy z kanałem Wesel-Datteln, który prowadzi w stronę Berlina. Chodziło o sprawdzenie, czy taka barka, jak „Dominika" może popłynąć tego rodzaju trasą. No więc może. Doskonale poradziła sobie na Renie. Dzielnie wspinała się na fale (nawet prawie dwumetrowe) wzbudzane przez śruby kolosalnych barek, słuchała steru, nie mieliśmy z nią żadnych kłopotów, jedynie odgłos pracy silnika na podwyższonych obrotach męczył nas. Ale też płynęliśmy od rana do zmroku, bez przerw, aby zdążyć na spotkanie z następną załogą.

Nie spotykaliśmy tak małych jednostek, jak nasza, lecz w marinach cumowały okryte na zimę motorówki oraz jachty. Myślę więc, że w sezonie po Renie kręcą się miedzy wielkimi barkami sportowe łódeczki.

Ren jest wielka rzeką, a właściwie drogą wodną zatłoczoną barkami o długości 100 i więcej metrów. One właśnie były naszym problemem, gdyż burzyły wodę i spychały nas w stronę brzegu. Mimo to patrzyliśmy na nie z podziwem. Te kolosy przewożą chyba wszystko: węgiel, samochody, stal, płyny w wielkich kadziach. Stanowią jednocześnie dom dla osób, które na nich pracują, gdyż na rufie mają komfortowo urządzone, duże mieszkania, a na dachu tych „willi" przewożą samochody osobowe i dźwigi za pomocą których przenosi się te samochody na ląd, gdy barka zawinie do portu.

Wpłynęliśmy na Ren na 885 kilometrze jego biegu, a więc już blisko ujścia, gdyż cała rzeka ma długość 1233 km. Płynęliśmy do 813 kilometra, czyli pokonaliśmy 72 kilometry w ciągu 14 godzin. Mieliśmy więc całkiem przyzwoitą średnią szybkość – około 5 km/godz.

Za 813 kilometrem przez śluzę opuściliśmy Ren. Dalej popłynęliśmy kanałem, który jak to kanał, był sielsko spokojny. W marinie w Dorsten czekali na nas zmiennicy. Nasz rejs (nie licząc postojów) trwał 9 dni w tym 52,4 godziny czystego płynięcia.

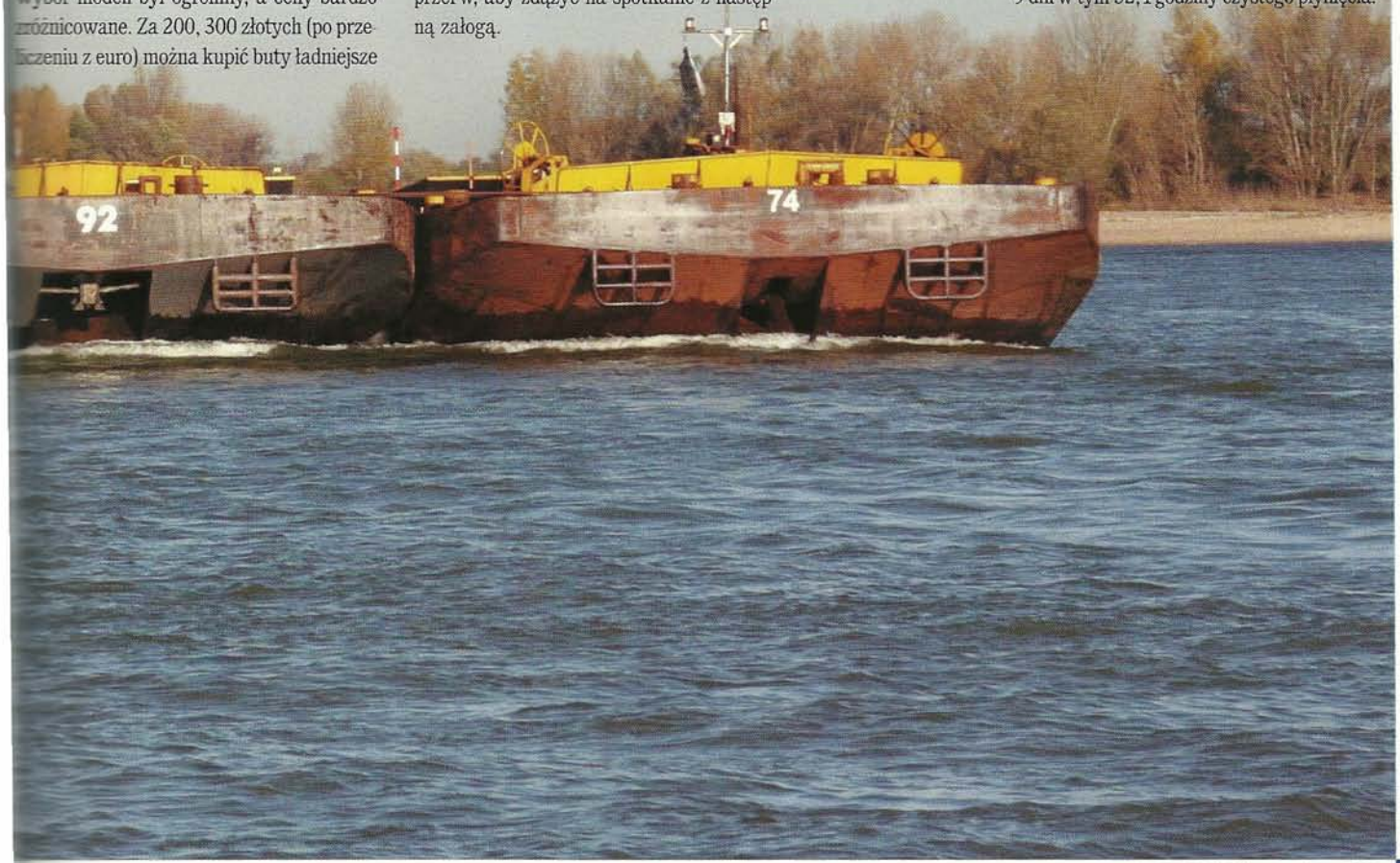

Listopad na barce

Tekst – Zofia Zubczewska.
Zdjęcia – Stefan Zubczewski

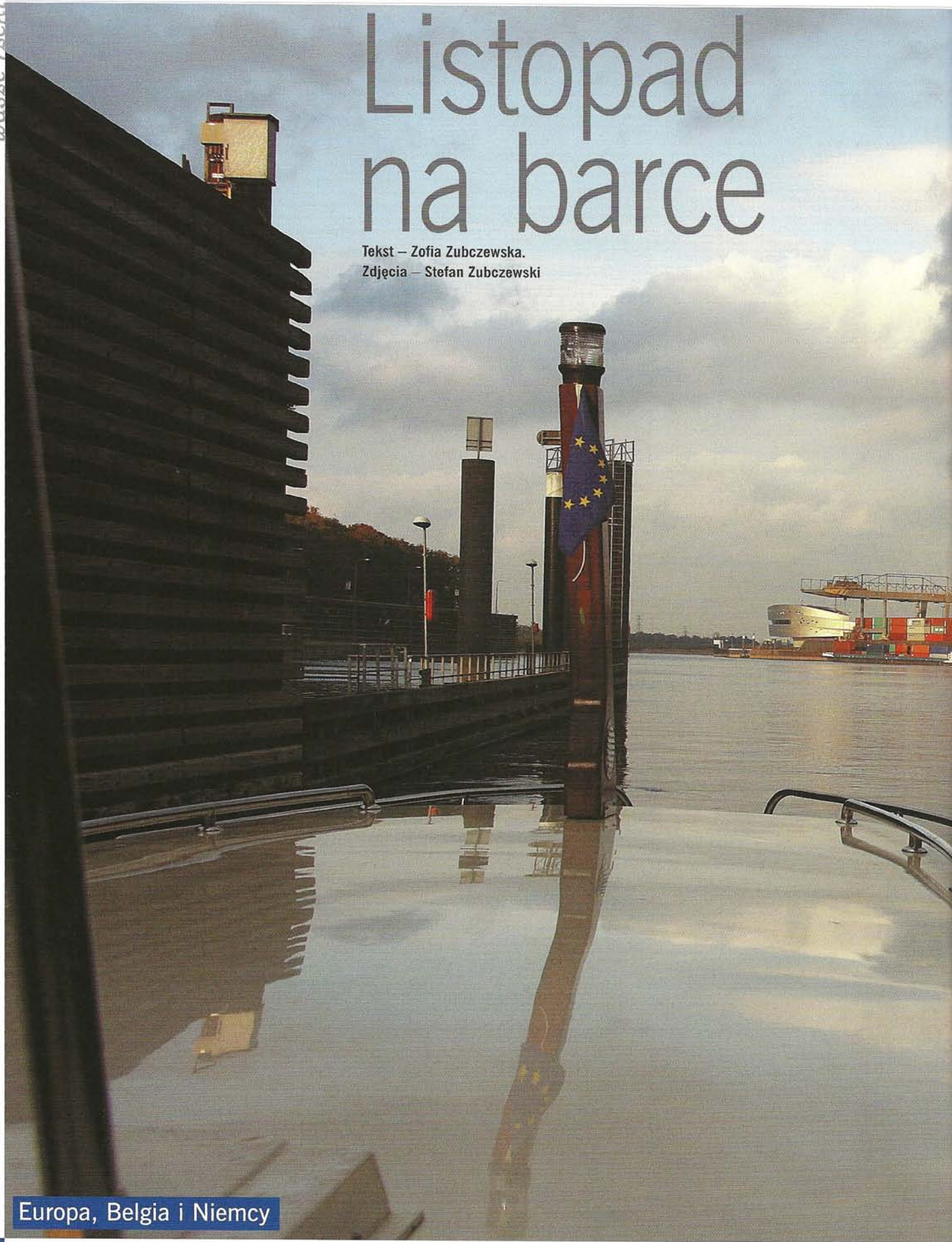

Europa, Belgia i Niemcy

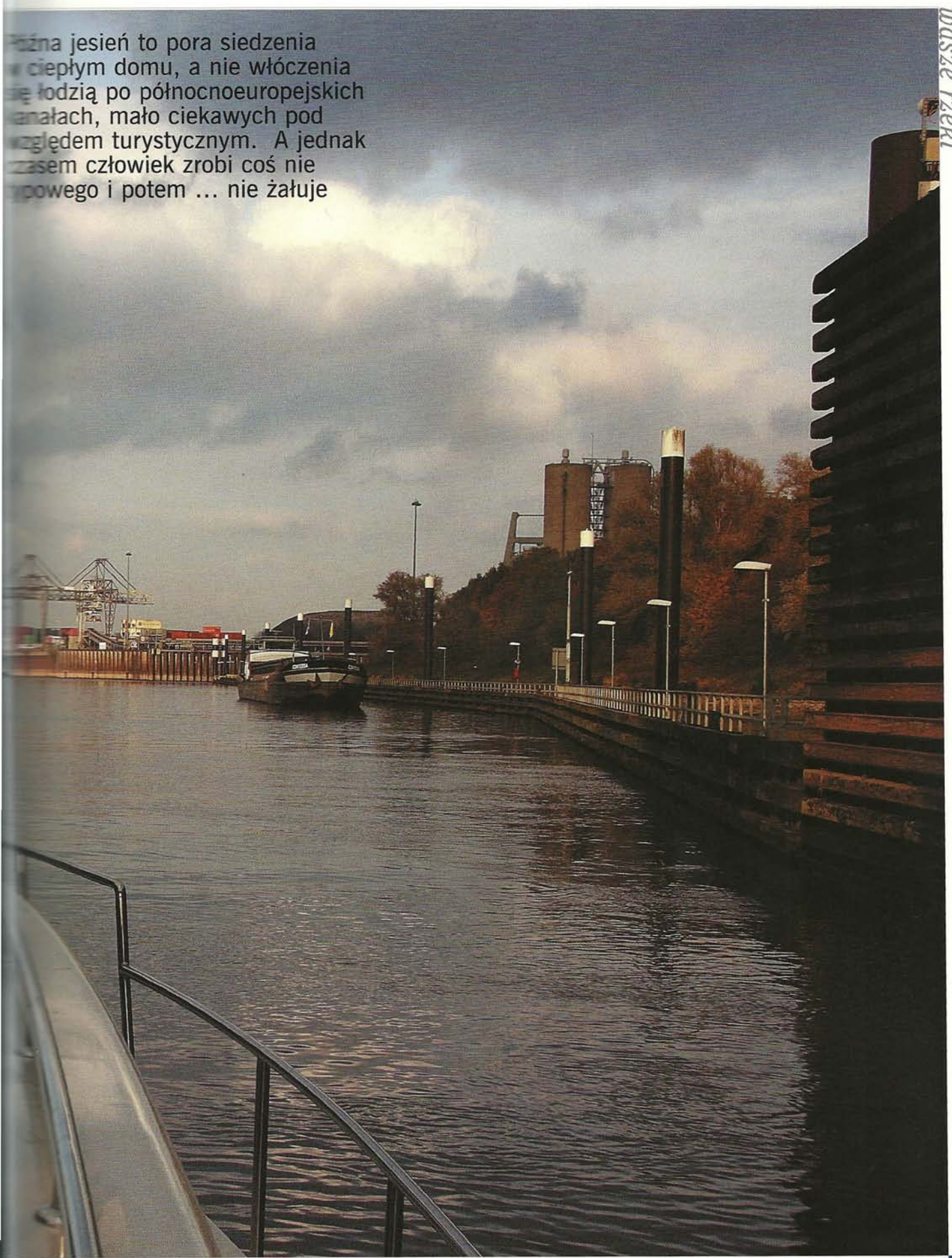

Późna jesień to pora siedzenia
w ciepłym domu, a nie włóczenia
się łodzią po północnoeuropejskich
kanałach, mało ciekawych pod
względem turystycznym. A jednak
czasem człowiek zrobi coś nie
typowego i potem ... nie żałuje

Wakacje już dawno minęły, już zaczęliśmy myśleć o Bożym Narodzeniu, gdy Łukasz Krajewski zadzwonił z propozycją: – Szukam załogi na barkę – powiedział. – Chodzi o to, aby przeprowadzić ją z Belgii przez Ren do Niemiec.

Łukasz zakręcony na tle pływania barkami i właściciel kilku takich jednostek wpadł na pomysł, aby swoją pasję i firmę promować za pomocą rejsu o długości prawie 4000 km, z Gliwic do Berlina. Podróż musiała zakończyć się 15 listopada, gdyż parę dni później w Berlinie rozpoczynały się targi „Boot und Fun", na których jego nowa barka typu Vistula Cruiser 30 oraz jej dokonania miały być zaprezentowane. Załogi zmieniały się na trasie. Dla nas przewidziany został odcinek przedostatni, od Namur w Belgii do Dorsten w Niemczech. Mieliśmy go pokonać od 28 października do 6 listopada 2011 r.

Propozycja Łukasza budziła wiele wątpliwości. Po pierwsze mieliśmy płynąć barką nowego typu, raczej małą (10 metrów długości) z silnikiem diesla całkiem zwyczajnym o mocy 27 koni. W dodatku na naszej trasie był Ren, który musieliśmy pokonać pod prąd.

Po drugie pora roku kojarząca się z szarugą i zimnem, której nie chce się spędzać w sterówce znajdującej się na pokładzie w kokpicie, osłoniętej tylko brezentem.

Po trzecie trasa rejsu, prowadząca przez uprzemysłowione tereny, czyli takie, których normalny turysta unika. Ponieważ wszystko to razem wyglądało dosyć zniechęcająco to ... zgodziliśmy się.

Piątek 28 października, początek

W belgijskim Namur schodzą się dwie rzeki: Sambre i Mass, po polsku Moza. Nad ich zbiegiem góruje majestatyczna twierdza założona w XI wieku. I u stóp tej twierdzy cumowała nasza barka „Dominika", do której przyjechaliśmy z Polski samochodem. Rozlokowaliśmy się szybciutko i wypłynęli. Był czwartek, 16.00, czyli godzina „zero" naszego rejsu (na barce mieliśmy licznik przepłyniętych godzin, który pozwalał też kontrolować zużycie paliwa).

Nie jesteśmy nowicjuszami barkowych rejsów, lecz za każdym razem z równą ciekawością i zachwytem witamy pierwsze kilometry trasy i pierwszą śluzę. Tym razem nasza pierwsza śluza pojawiła się już po pół godzinie i była inna niż wszystkie znane nam z poprzednich wypraw – wyłania się z wody,(chyba z dna) jako metalowa tama, która zamknęła nas w basenie. Woda zaczęła opadać, zeszliśmy w dół, niezbyt głęboko, na jakieś dwa metry.

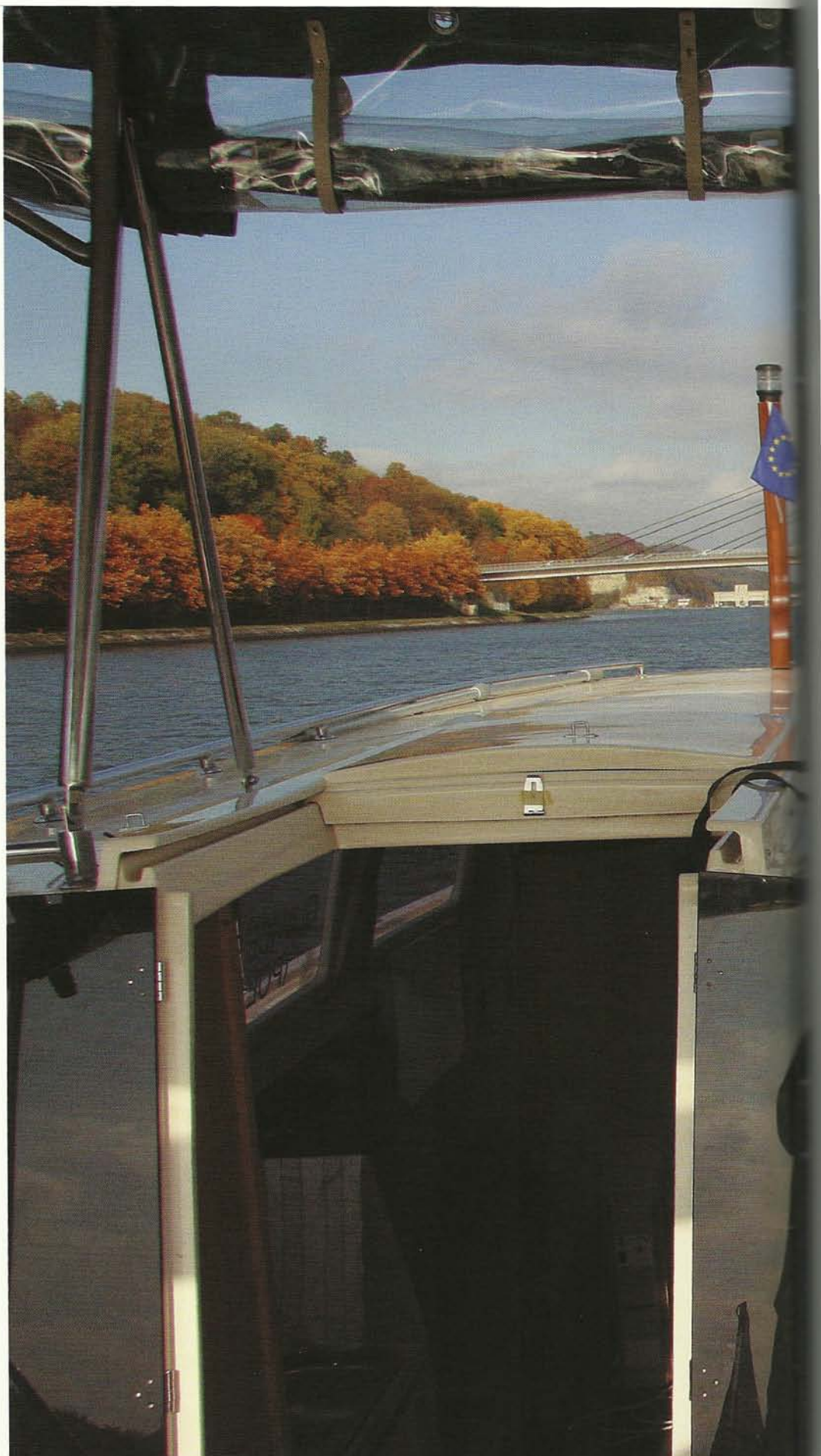

LOWRANCE